

Aby rozpocząć lekturę,
kliknij na taki przycisk ,
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym
LITERATURA.NET.PL
kliknij na logo poniżej.



WALERY ŁOZIŃSKI

ZAKŁĘTY DWÓR

Tower Press 2000

Copyright by Tower Press, Gdańsk 2000

CZĘŚĆ PIERWSZA

*Janowi Zachariasiewiczowi¹
w upominek przyjaźni i szacunku powieść
tę poświęca*

AUTOR

¹ Jan Zachariasiewicz (1825–1906) – dziennikarz i pisarz lwowski, autor powieści z życia współczesnej Galicji, pomagał Łozińskiemu w zwalczaniu przeszkód stawianych przez cenzurę austriacką.

I

ORGANIŚCINA

Największy człowiek naszego wieku utyskiwał w pewnych chwilach, że nie jest swym własnym wnukiem ², nas, biednych powieściopisarzy, wcale przeciwne trafi zachcenie, my znowu nie możemy się pocieszyć, że nie jesteśmy swymi własnymi dziadkami, że przynajmniej o jedno stulecie wcześniej nie przyszliśmy na świat. Za trudne jest dzisiaj nasze stanowisko, za ciężkie zadanie!

– Powieść dzisiejsza – pisze jeden z nowoczesnych estetyków niemieckich – choćby prócz zabawy żadnych innych nie miała celów, musi opływać w wszelkie cudowne barwy i blaski fantazji, jak bajka z Tysiąc i jednej nocy, a tchnąć przy tym prawdą i naturalnością, jak sama najpowszechniejsza rzeczywistość; musi nam co chwila odsłaniać nowe, nie znane dotychczas strony duszy i serca ludzkiego i co chwila do nowych jakichś nieprzewidzianych prowadzić rezultatów; ale w tym wszystkim powinna opierać się na jak największej prostocie uczucia, na jak najogólniejszych prawdach psychologicznych, zrozumiałych dla każdego, a wolnych od wszelkich rysów wyjątkowych. W takim tylko razie zdoła mniej więcej odpowiedzieć swemu zadaniu.

Ależ nie na tym jeszcze koniec trudności. Pół biedy, by jeszcze przewalczyć te i tym podobne wymagania, byle tylko przy dzisiejszym rozbujaniu powieści nie tak trudno przychodziło zachować od szwanku reputację własnej twórczości.

Powieść nasza, acz tak ogromnie rozmogła się ostatnimi czasy, w tak ciasnych przecie tkwi jeszcze ramach, że biednemu powieściopisarzowi trudno krok zrobić, aby zaraz nos w nos nie zetknąć się z dziesięcią poprzednikami lub mimo chęci, wiedzy i woli nie potraścić łokciem któregoś z społecznych kolegów.

I ani się nieraz spostrzeże, że układając i kombinując zupełnie nowe i oryginalne w własnym przekonaniu charaktery, rysy, sytuacje, kolizje i perypecje społeczne, powtarza tylko za kimś innym jak za panią matką pacierz, czyli raczej, że tworząc najoryginalniej w własnym przeświadczeniu, odżywa tylko najniezręczniejszym w rzeczywistości. Ani wie też często, że zamiast nowe napisać dzieło, złożył tylko nowy obraz z starych kalejdoskopicznych fatałaszków, uklecił nową całość z dawnych, stokroć zużytych części składowych, jak gdyby pomimowolnym obszernym komentarzem chciał dokumentnie stwierdzić słowa Goethego:

*Wer könnt' was Kluges ³, wer was Dummes denken,
Was nicht ein Anderer schon vor ihm gedacht?*

² Największy człowiek naszego wieku (...) itd. – Powiedzenie dramaturga Racine'a (1639–1699), powtórzone przez Napoleona, którego autor ma tu na myśli.

³ *Wer könnt' was Kluges* (...) – przybliżony cytat z II aktu, 2 sceny *Fausta* Goethego. Brzmienie właściwe: *Wer kann was Dummes, wer was Kluges denken – Das nicht die Vorwelt schon gedacht?* – Co kto głupio czy mądrze pomyślał, to już od dawna przed nim pomyślano.

– Ależ do czegoż to wszystko mierzy? – zapytasz może, czytelniku. – Maż to być reklama dla własnej powieści czy pokorne przyznanie się do własnego braku oryginalności?

O, bądź spokojnym, ani jedno, ani drugie! Jeśli już mamy mówić z sobą po otwartej szczerości, a raczej otwartości, to wierzę mi, że do wszystkich tych stosownych czy niestosownych uwag i ekspektoracji ⁴ naprowadził mnie tylko zły humor, iż chcąc nie chcąc muszę niniejszą powieść moją zaczynać w karczmie, tym najpowszechniejszym miejscu powieściowych schadzek i wszelkich w ogóle spotkań umyślnych i przypadkowych.

Lecz, niestety, Bóg świadkiem, że nie mogłem postąpić inaczej. A to przynajmniej zostaje mi pocieszenie, że karczma moja, jak pospolite miejsce zająć musi w powieści, tak wcale niepospolitą rolę odgrywała w rzeczywistości.

Położona przy bitym gościńcu, o ćwierć mili za małą wioską Ryczychową ⁵, cała murowana i pobita gontem, jakby umyślnie dlatego tylko wysunęła się tuż na samo rozdroże, między obwód samborski i przemyski, aby zarówno po obudwu rozślawić się stronach.

I w samej rzeczy, w całym Samborskiem i Przemyskiem niewiele szczególnych naliczylbyś zakątków, gdzie by bogdaj z imienia nie znali ryczychowskiej karczmy, bogdaj ze słychu nie umieli coś powiedzieć o jej czcigodnym arendarzu. Karczma i arendarz tworzyli tu zresztą, jak nigdzie, jedną nierozdzielną całość, że niepodobna by sobie ani pomyśleć jedno bez drugiego: ktokolwiek zapamiętał karczmę, musiał zaraz przypomnieć sobie i garbatego Chaima, zwanego „Organistą”; bo nim jeszcze budynek stanął pod gontem, on już rozparł w nim swój szynkwas, rozłasował swe garnce, flaszki, kwarty i kwatyrki i przechrzciwszy przyszłą siedzibę od siebie „Organisciną”, szynkował w niej po dzień dzisiejszy, a szynkował z bezprzykładnym w okolicy powodzeniem.

Mogłeś przejeżdżać tamtędy we dnie czy w nocy, w powszednią czy świąteczną, jarmarczną czy odpustową dobę, zastałeś zawsze tłumno i pełno w sieniach i przed zajazdem, ludno i gwarno w szynkowni i w alkierzu.

Garbaty Organista, jak Bóg wie skąd swój niewłaściwy wziął przydomek, tak Bóg wie jaką szczególną siłą tajemniczą umiał przywabiać sobie gości, jednać przyjaciół i łaskawców i osobliwszą na wszystkich wywierać ponętę.

Żaden brykarz, solarz, maziarz ⁶, żaden w ogóle wóz z okolicy nie przejechał pewno popod okna ryczychowskiej karczmy, nie zatrzymawszy się bogdaj na chwilę u jej wrót, nie pomówiwszy bogdaj kilka słów z arendarzem.

Garbaty Organista, wylany na wszystkich usługi, nigdy na godzinę nie opuścił domu, zawsze w każdej dobie i porze można było go zastać gotowym i ochoczym do rozmowy, a co główna, zawsze w najweselszym pod słońcem usposobieniu.

A ktokolwiek w dłuższą zapuścił się z nim rozmowę, mógł domyśleć się po troszę, dlaczego ryczychowska karczma, nie mając ani miar lepszych, ani trunków tańszych i doskonalszych jak inne karczmy, tak rozgłośniej wzdłuż i szerz używała reputacji i tak świetnym cieszyła się powodzeniem.

Garbaty Organista obok wódki, piwa, miodu i dalszych tym podobnych artykułów handlował jeszcze innym, wyższego rzędu spirytusem ⁷, który mu podobno największe ze wszystkich przynosił zyski; posiadał żywy i bystry dowcip i co główna, umiał zawsze w jak najlepszy użyć go sposób.

Należy to do najzwyczajniejszych nieszczęść wszystkich ludzi dowcipnych, że jak łatwo jedną sobie przyjaciół i wielbicieli, tak nierównie łatwiej jeszcze ściągają sobie na kark wrogów i przeciwników.

⁴ e k s p e k t o r a c j a (łac.) – wynurzenie

⁵ R y c z y c h ó w – wieś koło miasteczka Komarna.

⁶ b r y k a r z, s o l a r z, m a z i a r z – kołodziej; sprzedawca soli; sprzedawca mazi smołowej do wozów

⁷ h a n d l o w a ł (...) s p i r y t u s e m – gra słów: *spiritus* po łacinie znaczy duch, talent

Nasz Organista był najzupełniejszym z tej reguły wyjątkiem. Dowcip jego mnożył mu codziennie przyjaciół, a nigdzie i nigdy nie wzniecił nienawiści. Bo też nikt inny nie umiał zręcznie od niego zastosować się w jednym mgnieniu oka do natury i usposobienia tego, z kim mówił.

Garbaty Organista był inaczej dowcipny z chłopem, inaczej z przechodzącym małym mieszczaninem lub szlachcicem chodackowym, inaczej z prywatnymi oficjalistami, a spieszącymi na wesela i odpusty popadiankami⁸. Wszystkich razem i każdego z osobna potrafił zabawić na umór, a choć z częstą gęstą i jakieś uszczypliwe wymknęło mu się słówko, to padało ono zawsze na karb kogoś nieobecnego. Przebiegły Żyd jak ognia unikał w oczy wszystkich uszczypliwości, a jakby instynktem odgadywał zawsze, co i kiedy należy pominąć. Kiedy, bywało, rozsiadł się między chłopami, prawił im cuda o tym sławnym z baśni gminnych Iwanie⁹, co niewyczerpany w swej przebiegłości, tyle uciesznych psot napłatał Żydom, tak zręcznie zawsze wywinał się z kłopotu, a w zastawiane sobie sidła tak chytrze chwycił swych własnych prześladowców.

Z spieszącym na termin sądowy szlachcicem chodackowym Organista z innej czerpał beczki. Przytaczał rozliczne ucieszne dykteryjki z ostatnich praktyk sejmikowych, opowiadał o niedawnych zawołanych w okolicy rębajłach i bibułach¹⁰, a na zakończenie dodawał zawsze jakąś ciekawą anegdotkę prawniczą, jakiś zabawny fortel pieniacki.

Kiedy wśród drogi na któryś z sąsiednich jarmarków zagościli do „Organiściny” małomieszczanie z pobliskich miasteczek¹¹, Organista inny znowu tok nadawał gawędce. Przed staromiejskimi baraniarzami drwił z szewców staropolskich, przed radymieńskimi powroźnikami wyszydzał dowcipnie krukienickich kuśnierzy, przed drohobyckimi cebularzami opowiadał niestworzone rzeczy o komarzańskich sadownikach i tak na odwrót, zawsze jednak jedni i drudzy ubawili się jak najlepiej, a wracając nie pominęliby za nic w świecie „Organiściny”.

Dla przejeżdżających oficjalistów prywatnych miał Organista zapas anegdotek o dziwactwach okolicznych panów, zaś panów rozśmieszał dowcipnymi kradzieżami i oszustwami oficjalistów, jednym słowem, wszystkich bawił wybornie, a wszystkich w inny sposób.

Poznawszy z tej strony garbatego Organistę, łatwiej już domyślać się, czemu to karczma jego tak świetnie zawdzięczała powodzenie.

Ale czas by wreszcie zajrzeć do niej do środka. W izbie szynkowej panuje niesłychany hałas i wrzawa. Na popołudniową pogadankę świąteczną zeszła się cała gromada ryczychowska do „Organiściny” i zajęła od końca do końca główny stół, co od przytulonego pod drzwiami szynkwasu ciągnął się aż po przeciwległą ścianę.

Na głównym miejscu oczywiście rozparł się wójt z należytą powagą, za nim rzędem podług wieku i mienia celniejsi zasiedli gospodarze. Garbaty Organista z zwichniętą na bakier jarmułką, z swym jednostajnym zawsze, na poły dobrodusznym, na poły szyderczym uśmiechem na ustach, snuje się z miejsca na miejsce i wnet temu, wnet owemu z sporej blaszanej przylewa manierki. Już to po swoim zwyczaju dla wszystkich jest niezmiernie uprzejmy, ale szczególniejszą jakąś cześć i uwagę poświęca człowiekowi, co tuż przy boku wójta siedzi za stołem, a właściwie zdaje się rej wodzić w zgromadzeniu. Wszyscy słuchają bacznie na jego słowa i jak się zdaje, raczą się jego traktamentem.¹²

⁸ p o p a d i a n k a – córka popa, księdza unickiego

⁹ o t y m s ł a w n y m (...) I w a n i e – raczej o psotnym parobku z ludowych anegdot, u nas znanym jako „Żydowski Wojtek”

¹⁰ r ę b a j ł o, b i b u ł a – awanturnicy skłonni do szabli i butelki

¹¹ z p o b l i s k i c h m i a s t e c z e k – z miejscowości autentycznych w okolicach Sambora (Stare Miasto, Stara Sól, Radymno, Krukienice, Drohobycz, Komarno). Z innych, później wspomnianych, istniały rzeczywiście tylko: Buczały, Ryczychów (nie Ryczychowa), Opary (nie Oparki), Horbacze, Dobromil, Szwydka, Hruszów (nie Hruszówka)..

¹² t r a k t a m e n t (łac.) – poczęstunek

Z tym wszystkim widać z jego stroju i powierzchowności, że nie należy wcale do gromady. Jest to niemłody już, silnej i krępej budowy człowiek, w czarnym okrągłym kapeluszu na głowie i krótkiej, szerokim rzemieniem przepasanej siermiędze zwyczajnego szarego koloru. Małe, czarne plamy mazi rozsiane hojnie po twarzy, rękach i całej odzieży każą się domniemywać w nim jednego z owych wiejskich przemysłowców, co jednokonnym wózkiem z nie-wielkim zapasem swego towaru przeciągają [przez] odleglejsze od miasteczek ulice.

Rzeczywiście, „kum Dmytro”, tak go wszyscy nazywają, był przejeżdżającym maziarzem, ale bardzo dobrze znanym i nader często widywanym w tych stronach. Znać tu już po samej poufności, z jaką niemal z wszystkimi bez wyjątku tyka sobie gospodarzami, że nie pierwszy raz ma zaszczyt raczyć swym kosztem ryczychowską gromadę.

W tej chwili coś wielce ważnego prawi zgromadzonemu gospodarzom, bo wszyscy tak pilnie i uważnie wlepili weń oczy, jak gdyby pragnęli pochwycić i zrozumieć każde słowo, zanim mu jeszcze z ust wypadnie.

Kum Dmytro z jakimś osobliwym rozprawia ferworem i naciskiem:

– Nic darmo nie ma na świecie! Bóg, coć przecie hojność najwyższa, nie przyrzekł nam darmo szczęścia ani za życia, ani po śmierci. Ziemia nie żywi nas darmo, wszystko musimy okupywać taniej lub drożej, łatwiej lub trudniej... Wy byście jednak wszystko chcieli darmo dorzucić po chwili i pięścią w stół uderzył, a potem z niechęcią kapelusz zrzucił z głowy.

Teraz dopiero można lepiej przypatrzeć się jego twarzy, a twarz ta osobliwszy jakiś przedstawia wyraz. Dość raz na nią rzucić okiem, a nie tak łatwo wypadnie z pamięci. Gęsty, krótko ostrzyżony, czarnymi plamami mazi okryty zarost brody pozostawia tylko małą wolną przestrzeń około nosa i oczu, które pod niskim, wypukłym czołem biegają, ruchliwe i niespokojne, że niepodobna żadną miarą odgadnąć ich barwy. Nos zadarty w górę z szeroko rozwartymi nozdrzami nadaje całej fizjonomii pewien wyraz dzikiej namiętności, podczas kiedy szczególnie uformowana czaszka i silnie zaciśnięte usta zdają się świadczyć o niepospolitej energii i sile ducha.

Ostatnie słowa jego sprawiły wielkie wrażenie na całym zgromadzeniu. Sam wójt, Iwan Chudoba, posunął zamaszystą czapkę baranią z lewego ucha na prawe i odezwał się z niejakim wahaniem:

– Tać nie ma co mówić, kumie Dmytrze, macie słusność. Ale my nie chcemy bynajmniej darmo, nie wiemy tylko, co robić.

– Kto nie wie, powinien się dowiedzieć – odparł maziarz krótko.

– A u kogo? – zapytał wójt dalej.

Maziarz potarł ręką po czole.

– U kogo? – powtórzył po chwili. – U siebie samego, u własnego sumienia i rozumu.

– Hm – wycedził wójt, nie ze wszystkim zadowolony.

– Mówicie, kumie, jakbyście zadawali zagadki – ozwał się z boku dziesiętnik ¹³, Mykita Tandara, najpierwszy mudrahel ¹⁴ w gromadzie.

Maziarz zamyślił się czegoś.

– Nie czas jeszcze – szepnął po chwili jakby sam do siebie.

– Jak to nie czas jeszcze? – zapytał wójt.

– Nie czas jeszcze, abym ja wam rozwiązywał zagadki, kiedy sami nie umiecie.

– Hm – wybąknął wójt na nowo.

Maziarz spojrzał nagle do okna, jakby kogoś niecierpliwie wyglądając, potem pochylił głowę na piersi i bębniąc palcami po stole, odezwał się po krótkim namyśle jakby od niechcienia:

¹³ d z i e s i ę t n i k – dozorca sprawujący władzę nad dziesięciu „domami”, tj. włościanami lub oficjalistami dworskimi (karbowymi, polowymi)

¹⁴ m u d r a h e l (ukr.) – mędreń

– Domagacie się wielkiej ulgi, wielkiej łaski, wielkiego podarunku od ludzi, których nie-nawidzicie, którym złorzeczycie.

– Ba, alboż możemy inaczej? – poderwał od szarego końca dawny polowy dworski, Hryć Wenczur.

Maziarz niecierpliwie zabębnił po stole.

– Ot, ciemno wam w głowie i kwita. Nie sądzicie nic z rozumu, na wszystko patrzycie według pozorów. Pokrzywdzi was łotr mandatariusz ¹⁵, dziedzic winien, uciśnie niecnota ekonom, dziedzic winien.

– Ho, ho! – przerwał jakiś ponurego oblicza, niemłody już chłop, od szarego końca. – Musicie niemało za maż targować od panów, kiedy tak zawsze stajecie po ich stronie.

Maziarz zmarszczył czoło, chciał coś prędko odpowiedzieć, ale powstrzymał się nagle. Machnął tylko ręką i obracając się ku szynkwasowi zawołał żywo i wesoło:

– Jeszcze garniec wódki, panie Organisto!

– Ho, ho, co robicie, kumie Dmytrze – upominał ten i ów u stołu, lubo wszyscy z zadowoleniem poruszyli się na swych ławach.

– At, żeby nie znać licha! Jeszcze po kieliszeczku, panowie gromada!

– Ta! – przyzwalał wójt z poważnym uśmiechem za siebie i całą gromadę.

Nowy kielich szybko wokoło stołu obiegił kolej.

– Wasze zdrowie, kumie Dmytrze – powtarzał jeden gospodarz po drugim, wychylając duszkiem blaszaną miarkę.

Kum Dmytro znowu zamyślił się głęboko, a czasami ukradkiem wyzierał przez okno.

– Czy oczekujecie kogo, kumie? – zapytał Mykita Tandara.

– Nie, patrzę tylko, czy wysoko słońce na niebie, dziś jeszcze muszę jechać dalej – odparł obojętnie.

– Jedziecie i nic nam już nie powiecie? – ozwał się wójt z niejakim ubolewaniem.

– A cóż wam mam mówić, kiedy mi wierzyć nie chcecie?

– Ach! – tłumaczył się urzędnik gromadzki, jakby na pół obrażony tym wyrzutem.

Maziarz potarł ręką po czole, a oko dziwnym jakimś zaśniło mu blaskiem.

– Cóż chcecie? – rzekł po chwili z przekonującym naciskiem – wierzcie albo nie wierzcie, ale powiadam wam na sumienie, że od was tylko zależy, aby od dziś za rok nikt w całym kraju nie znał pańszczyzny.

Cała gromada wydała jeden tylko wykrzyk radosnego zdziwienia, pomieszanego z pewnym niedowierzaniem.

– Ba, ba! – zawołał wójt i w znak radości czapkę zasunął na sam tył wygolonej głowy.

– Pan Bóg by z was mówił – ozwał się liczny chór.

Maziarz, jakby się nagle czegoś zawahał, sparł głowę na ramieniu, przymrużył na pół oczy i zakołysał się cały, jakby go trunek rozbierał.

– Ale – poderwał nagle cokolwiek zmienionym głosem – pieczone gołąbki nie lecą same do gąbki! Jak się i wy do tego z swej własnej nie przyłożycie strony, to furda z wszystkiego!

– A jakże to rozumiecie, kumie? – zapytał wójt wracając do dawnej urzędowej powagi, od której nigdy nie lubił odstępować.

Kum Dmytro zakołysał się znowu.

– Kiedy mi się jakoś w głowie kręci – zabelkotał naraz.

– Tak prędko! – przejął z ubolewaniem przysiężny ¹⁶, Jan Makar, najsilniejsza głowa w gromadzie.

– Poczekajcie! – zawołał – opowiem wam bajkę. Słuchajcie tylko dobrze.

¹⁵ m a n d a t a r i u s z (łac.) – urzędnik dawnej administracji galicyjskiej, wynagradzany przez dziedzica, zależny od rządu (cyркулу, tj. starostwa). Wykonywał czynności sądowo-policyjne, głównie w sprawach wynikających z ciężarów pańszczyźnianych.

¹⁶ p r z y s i ę ż n y – pomocnik wójta w sprawach sądowych

W tym momencie drzwi z łoskotem rozwarły się na ścieżaj, a do izby szynkowej wszedł gość nowy.

Maziarz utknął w mowie i uważnie wpatrywał się w nowo przybyłego. Za jego przykładem poszli i wszyscy inni i nagle cicho zrobiło się w szynkowni.

Bo też nowo przybyły nie miał nic wspólnego z resztą obecnych gości, a miał na sobie strój, który w czasach pańszczyźnianych do pomimowolnego chłopca zmuszał szacunku. Był to wcale młody jeszcze mężczyzna, ubrany z waszecia, z grubą łaską sękatą w rękę i niewielkim zawiniątkiem na plecach. Można by myśleć, że jakiś szukający służby ekonom lub leśniczy.

Sam widok takiego człowieka napawał chłopca w owych czasach pewnym rodzajem nieufności i odrazy. Toteż wcale naturalna cisza nastąpiła nagle w szynkowni i sam maziarz zamilkł wśród mowy, zwłaszcza że tym razem tak fizjonomia, jak cała powierzchowność nowo przybyłego, niewielkim w ogóle mogła przejmować zaufaniem.

Niezwyczajnie silnej i krępej budowy, nieznajomy miał na sobie strój bardzo lichy i wyszarżały, a każda osobna część ubrania wydawała się jakby zdarta z kogo innego. Zielona, wypłowiała, po szyję zapięta kurtka za krótko sięgała mu w rękawach, a za to znowu grube sukniane pantalony aż kilkoma naraz fałdami zwisały po niezgrabnych, rudawych butach, z których jeden zapiętkiem wybiegł na lewo, a drugi przyszwą daleko wychylił się na prawo. Czarna sukienna czapka z oddartym na pół daszkiem spadała mu aż gdzieś na kark i z natury zuchwałej już fizjonomii nadawała wyraz więcej jeszcze awanturniczy i wyzywający.

Zdawało się, że nieznajomy każdym swoim spojrzeniem, każdym krokiem i ruchem szuka tylko kogoś, z kim by się dało wszcząć burdę i komu by potężnego guza można nabić przy lada okazji.

Kiedy wszedł do szynkowni, powiódł dokoła wzgardliwym i uśmiechniętym wzrokiem, czapkę jeszcze zasunął w tył i przystępując z wolna do szynkwasu zrobił zrozumiały znak Żydowi.

Organista skinął głową z uśmiechem i tuż zaraz pełny kieliszek wysunął zza krtek. Nieznajomy sięgnął ręką niedbale, wypróżnił do dna sporą miarkę i krząknął z taką siłą, że aż kieliszki zadrżały na szynkwasio.

– *Repetatur?*¹⁷ – zapytał Organista, który czasem lubił także popisywać się łaciną.

Nieznajomy skinął głową na znak przyzwolenia, a po drugim kieliszku jeszcze silniej krząknął niż po pierwszym.

– Jakoś to mówią *omne trinum perfectum*¹⁸ – zagadnął znowu Organista.

– Pal cię diabli, dawaj! – odparł nieznajomy silnym, basowym głosem i znowu duszkiem trzecią wychylił miarkę.

Ale Organista nie tak prędko zwykł przerywać toku swoich przypowieści.

– No, a teraz – ozwał się znowu z figlarnym uśmiechem – po moich własnych wirszów: Wypije czwarty – kto nieuparty.

Nieznajomy uśmiechnął się od niechcenia.

– Cóż to! Ty i wiersze robisz? – zapytał.

– O tak, panie, dla lepszego szachrajstwo! Ale jegomość musi być z daleka, kiedy o tym nie wie! – podchwycił Żyd z swym niezmiennym nigdy uśmiechem.

– I diablo z daleka, mój bratku! Aż z Siedmiogrodu!

– Owa! fiu, fiu! – wybąknął Organista pokiwując głową.

– Ależ nareszcie stanąłem już na miejscu! – wysapał z pełnej piersi nieznajomy, mówiąc więcej do siebie.

– Jak to, tutaj? – zapytał Organista i mimowolnie cofnął się krok w tył.

¹⁷ *Repetatur?* (łac.) – Czy powtórzyć?

¹⁸ *omne trinum perfectum* (łac.) – wszystko, co potrójne, najlepsze (do trzech razy sztuka)

– Tutaj, w tych stronach – odparł i nagle obracając się ku stołu, gdzie siedział maziarz na czele ryczychowskiej gromady, zawołał głośno, jakby chciał przestraszyć wszystkich: – Hej, daleko jeszcze do Żwirowa? ¹⁹

– Do Żwirowa? – zawołał maziarz, na którym zapytanie to jakieś szczególniejsze wywarło wrażenie, bo aż porwał się z miejsca i z dziwną uwagą wpatrywał się w nieznajomego.

– Ile mil jeszcze? – pytał podróżny rozkazując dalej.

– Jak dla jegomości, to tylko trzy, ale dla kogo innego, to dobre cztery – wtrącił Organista wyręczając zapytanych.

Nieznajomy spojrzał na Żyda surowym wzrokiem, jak gdyby chciał powiedzieć, że nie od lada kogo przyjmuje żarty. Ale przebiegły Organista nie tak łatwo dał się zbić z toru.

– Bez żartów, proszę jegomości – ciągnął dalej nie zmieszany – dla kogo innego, co to na przykład jeździ wozem, to gościńcem będzie dobre cztery mile, ale jegomość piechotą może jedną milę zostawić na boku.

– Aha, jest zapewne jakaś krótsza droga.

– Buczański wygon! – tłumaczył na rozum wójt ryczychowski.

Organista bił się widocznie z jakąś ukrytą myślą, którą wahał się na razie wyjawiać. Nagle poprawił zakręcone pejsy, uklonił się nisko berłydkiem i zapytał nieśmiało, bo po prawdzie niepospolicie mu imponowała zuchwała postawa i zawadiacka mina nieznajomego:

– Bez urazy jegomości, jeśli wolno zapytać, z przeproszeniem, do kogo jegomość do Żwirowa?

– Do kogo? Do dworu – odparł nieznajomy niedbale, wyciągając się wygodnie na najbliższej ławie.

Organista odskoczył w tył jak oparzony, a pomiędzy ryczychowską gromadą jakiś nagły, szczególniejszy powstał szelest.

– Do dworu? – zapytał Żyd, jakby nie dosłyszał dobrze.

– Albo cóż? – wybąknął podróżny, zdziwiony niespodziewanym wrażeniem słów swoich.

– Et, jegomość sobie żartuje – przemówił z nowym ukłonem Organista – do kogóż by jegomość szedł do dworu?

– Jak to, do kogo, do dziedzica, błźnie! – zawołał nieznajomy z dumą, zniecierpliwiony cokolwiek tymi zapytaniami.

– Do nieboszczyka? – wybąknął Organista, jakby sam nie wiedział, co mówi.

Nieznajomy jak opętany porwał się z ławy i jednym susem przyskoczył do Żyda.

– Jak to? Co mówisz, nowy dziedzic żwirowski nie żyje? – zawołał gromowym głosem.

Biedny Organista aż przykucnął z przestachu, tak groźnym wydał mu się w jednej chwili nieznajomy.

– Uchowaj Boże – zawołał skwapliwie – po co by miał nie żyć! Żyje, ale mieszka o milę za Żwirowem, aż w Oparkach, proszę jegomości, bo dwór żwirowski zaklęty.

– Jaki? Zaklęty?! – wykrzyknął podróżny, rubasznym wybuchając śmiechem.

Garbaty Organista skrzywił się z niesmakiem. Mimo całego swego dowcipu ulegał powszechnej wadzie swego pokolenia, był zabobonny, jak wszystka nasza wiejska diatwa Izraela.

– No, nie ma się tu wcale z czego śmiać – przedkładał z niezwykłą u siebie powagą. – Widzi jegomość, ludzie gadają, że nieboszczyk pan starościc chodzi po śmierci.

– Chodzi – powtórzył nieznajomy i nowym parsknął śmiechem.

– No, może sobie i biega, albo ja wiem – wycodził Żyd widocznie niekontent z niedowiarstwa swego gościa. – Ale ja powiadam panu, że tak ludzie utrzymują, a stary dwór żwirowski nazywa się w całej okolicy, na dwadzieścia mil wzdłuż i wszerz, Z a k ł ę t y m D w o r e m, bo nieboszczyk starościc w nim się najczęściej pokazuje.

¹⁹ Ż w i r ó w – nazwa fikcyjna

- Komu? – zapytał podróżny drwiąco.
- Ho! ho! czy jeden go już widział? – upewniał Żyd stanowczo.
- No, już to wybaczcie, panie arendarzu – wtrącił się z powagą wójt ryczychowski – z bliska go podobno jeszcze nikt nie widział prócz starego klucznika, Kostia Bulija, który z nim jakieś nieczyste utrzymuje konszachty. Ale z daleka niejeden już spostrzegł światło w Zaklętym Dworze i przypatrzył się samemu nieboszczykowi, bądź jak z nahajką przechadza się po ganku, bądź jak na czarnym gdyby węgiel koniu uganiania po dachu swego dworu.
- I to wszystko można widzieć każdej nocy? – pytał podróżny nie wychodząc z tonu drwiącej wesołości.
- Broń Boże – tłumaczył dalej wójt. – Nieboszczyk pokazuje się tylko w pewnych porach, w Dniach Zaduszných i kiedy nów na niebie.
- I do tego czasu nikt mu jeszcze porządnie skóry nie wygarbował? – zapytał podróżny z nowym rubasznym wybuchem śmiechu.
- Wójt obrócił się z niechęcią i indygnacją.
- Nie godzi się żartować w takich rzeczach – upomniał z powagą.
- Nieznajomy wzruszył ramionami.
- Ha – szepnął półgłosem, jakby sam do siebie – Szekspir powiada, że są rzeczy na niebie i ziemi, o których się ani śniło filozofom.²⁰
- A potem, obracając się do zgorzonego cokolwiek wójta, zapytał dalej mniej już drwiącym tonem:
- A jakże, w samym dworze nikt nie mieszka?
- Nie ma żywej duszy ani w dworze, ani w oficynach. Od śmierci starościca niczyja jeszcze noga nie przestąpiła progów Zaklétego Dworu, bo nieboszczyk zabronił tego wyraźnie w swym testamencie. Nowy dziedzic mieszka w Oparkach i nigdy ani się pokaże do Żwirowa.
- A któż u licha gospodaruje w samym Żwirowie?
- Folwark leży o ćwierć mili na Buczałach, a tam mieszka i sędzia żwirowski.
- A stary, pusty dwór stoi tak na opatrność boską, bez wszelkiej straży?
- Ta mógłby się wprowadzić obejść bez straży, bo każdy omija go na ćwierć mili; przy tym wszystkim pilnuje go jednak Kost' Bulij, dawny kozak²¹ nieboszczyka, przezwany dziś klucznikiem Zaklétego Dworu.
- A ten nie boi się upiora?
- On! – zawołał wójt i wieloznacznie pokiwał głową. – Powiadają ludzie – dodał po chwili, zniżając głos uroczyście, ale w tym momencie drgnął na całym ciele i co żywo zrobił krzyż w powietrzu.
- Jednocześnie jakiś osobliwszy szmer obiegił wszystkich obecnych. Nieznajomy obejrzał się zdziwiony ku drzwiom i sam o krok w tył cofnął się z przestachu.
- W rozwartych na ścieżaj drzwiach okazała się jakaś olbrzymiego wzrostu postać męska, której nagle pojawienie się najśmielszy nawet umysł pomimowolną mogłoby przejąć grozą.
- Garbaty Organista umknął co żywo za kratki szynkwasu, a w przechodzie mógł tylko na ucho szepnąć nieznajomemu:
- To on! Klucznik Zaklétego Dworu!

²⁰ S z e k s p i r p o w i a d a (...) itd. – cytat z *Hamleta* (akt I, sc. 5)

²¹ k o z a k – służący, używany zwłaszcza do dalszych posyłek

II

KLUCZNIK ZAKŁĘTEGO DWORU

Nowy, niespodziewany gość, co jak istny *lupus in fabula* ²² pojawił się w najciekawszym toku rozmowy, a tak szczególnie na wszystkich sprawił wrażenie, zatrzymał się chwilę nieruchomo przy drzwiach i badawczym po całej szynkowni potoczył okiem, jak gdyby kogoś szukał lub się czegoś zawahał u wnijscia. A przyznać należy, że cała jego postać i powierzchność musiałyby niepospolicie i temu nawet zaimponować, kto by do wszystkich jego tajemniczych stosunków z Zaklętym Dworem najmniejszego nie przywiązywał znaczenia.

Wzrostem sięgał do samej niemal powały, siłą budowy i dosadnością kształtów mógł z najzawołanym mierzyć się atletą. Zdawało się niejako, że brakuje mu tylko lwiej łopatki w rękę, a potrafiłby sprawdzić wszystkie biblijne cuda Samsona ²³, sam jeden potykać się z tysiącami przeciwników, mury wywracać z posady.

Z twarzy widać było jednak, iż pewno z okładem przeszedł już krzyżyk piąty. Liczne zmarszczki okrywały czoło i policzki, podgolony dokoła głowy włos przyprószył się znacznie siwizną; tylko wąs krótko podstrzyżony i niesłychanie gęste i krzaczaste brwi zachowały jeszcze pierwotną, czarną jak węgiel barwę.

Na sobie miał zwyczajny w tych stronach strój chłopski, szarą siermięgę, szerokim przepasaną rzemieniem, buty z wywróconymi u góry cholewami, czarny pilśniowy kapelusz z szerokimi kresami i czerwonym sznurkiem dokoła.

– Pal go diabli, to jakiś prawdziwy klucznik czartowski! – wyszepnął nasz nieznajomy wędrowiec, który, jak się spodziewać można, w jednej chwili obejrzał go ciekawie od stóp do głowy, a ochłonawszy z pierwszego swego, pomimowolnego jakiegoś wrażenia, posunął się o krok naprzód ku nowo przybyłemu.

Z reszty obecnych nikt nie śmiał ani spojrzeć na strasznego olbrzyma, tylko ów maziarz, co tak głośno do niedawna rej wodził między ryczychowską gromadą, a całej rozmowie o Zaklętym Dworze w obojętnym przysłuchiwał się milczeniu, porwał się nagle z swego siedzenia, a jakiś zagadkowy wyraz ciekawości i niepokoju przemknął mu po twarzy.

– Jak się macie, Kostiu! – ozwał się poufale – wracacie z Sambora?

Kost' kiwnął głową na znak potwierdzenia.

– Ale nie potrzebujecie też mazi? – pytał maziarz dalej, a oczy jego jakieś osobliwsze wyrażały oczekiwanie.

– Nie, nie wyszła mi jeszcze dawniejsza – odpowiedział obojętnie klucznik i obrócił się ku szynkwasowi.

W tej chwili jednak wydawało się naszemu nieznajomemu wędrowcowi, który stojąc w pobliżu, śledził z uwagą każde poruszenie starego klucznika, że ten jakiś dziwny, zagadkowy znak zrobił nagle maziarzowi.

²² *lupus in fabula* (łac.) – zwrot przysłowiowy; dosł.: wilk w bajce (o wilku mowa, a wilk tu)

²³ wszystkie biblijne cuda Samsona – Łoziński pomieszał tu dwie przygody Samsona (*Stary Testament, Księga Sędziów*): rozdarcie rękoma lwa i zabicie osłą szczęką tysiąca nieprzyjaciół.

Nieznajomy obrócił się szybko ku maziarzowi i spotkał się z nim oko w oko. I teraz dopiero uderzyła go nie postrzeżona dotąd postać i fizjonomia znanego nam kuma Dmytra.

Nieznajomy cofnął się nagle zdumiony, bo mu się zdało, że i ten w tejże samej chwili wymienił z klucznikiem jakiś tajny znak porozumienia.

– Cóż to ma znaczyć? – wycedził przez zęby i badawcze w maziarzu utkwiał spojrzenie.

Ale i ten jednocześnie z tak szczególniejszym jakimś wyrazem spojrzał mu w oczy, że nieznajomy nasz wędrowiec w wykrzywionych butach, mimo całej cynicznej niemal zuchwałości, jaka z każdego jego tchnęła poruszenia, mimowolnie w dół spuścił oczy.

Chciał coś przemówić, ale maziarz obrócił się już do stołu i ochoczo i wesoło zawołał do swych towarzyszy:

– No, bywajcie mi zdrowi, panowie gromada, miejcie się dobrze, a co wam nie dostaje, kupcie sobie za gotowe pieniądze.

– Jak to, już jedziecie? – zapytał wójt, Iwan Chudoba.

– Jadę, ale za kilka tygodni będę znowu między wami. Bywajcie zdrowi.

I w jednym momencie uściśnął serdecznie wójta, podał rękę kolejno wszystkim siedzącym przy stole i przypadając do szynkwasu, gdzie właśnie olbrzymi klucznik z rąk garbatego Organisty małą blaszaną wychylał miarkę, zawołał prędko:

– Ilem ci winien, mości Organisto?

– Ze wszystkim, z wódką dla gromady, z sianem i owsem dla konia i z moją przygrywką, dziesięć sorokowców²⁴ jak uciął – odpowiedział Organista zliczywszy kilka niezgrabnie nabazgranych cyfer na szynkwasio.

Maziarz dobył spory skórzany worek zza pasa, wyrzucił dziesięć sorokowców na stół, zasadził kapelusz głęboko na uszy, jeszcze raz skinieniem głowy pożegnał wszystkich obecnych i jak strzała wypadł z szynkowni.

I znowu zdało się naszemu nieznajomemu wędrowcowi, że na samym wyjściu nowy jakiś tajemniczy znak wymienił z klucznikiem.

– Czy się łudzę, czy mię zamroczyło w oczach – mruknął przez zęby nasz bohater o wykręconych butach – ale mnie się zdaje, że ci dwaj znają się jak łyse konie na jarmarku. A jeden i drugi osobliwszą jakąś ma fizjonomię.

I nagle zwrócił się do Żyda:

– Kto to jest ten człowiek, co wyszedł teraz? – zapytał.

Stary klucznik miał już właśnie odchodzić od szynkwasu, ale zatrzymał się na to zapytanie i spojrzał uważnie na pytającego.

– To kum Dmytro, maziarz – odpowiedział Żyd, któremu obecność starego klucznika zdawała się aż język plątać w gębie.

– A skąd on jest? – pytał dalej nieznajomy.

– A któż go tam wie – odparł Organista wzruszając ramionami – wozi wyborną maź od wsi do wsi, sprzedaje taniej niż w mieście, kredytuje każdemu, kto chce i nie chce, a sam wszystko płaci gotówką. Wielce rarytny człowiek, ale nie ma się czemu dziwić, mówią przecież, kto smaruje, ten jedzie po świecie, a on musi najlepiej smarować, bo sam sprzedaje smarowidło.

– Szczególna! – mruknął nieznajomy. – Gdybym był powieściopisarzem, musiałbym tu koniecznie znaleźć zawikłanie do powieści.

I znowu ciekawie wpatrzył się w olbrzymiego klucznika. Nagle jakaś myśl strzeliła mu do głowy.

– Hej, Kostiu! – rzekł żywo, zastępując drogę olbrzymowi.

Klucznik Zakłętego Dworu przystanął zdziwiony na miejscu i chmurnym i groźnym okiem spojrzał na nieznajomego, który ni stąd, ni zowąd tak poufale zagadnął go po imieniu.

²⁴ s o r o k o w i e c (ukr.) – dawna srebrna moneta austriacka (cwancygier) wartości 20 krajcarów, równa 40 (ukr. sorok) – 42 groszom polskim

– Wyście tu wozem? – pytał dalej nieznajomy.

– Albo co? – odciął krótko, a wyprężając się surowo w całej postawie, groził powalę przebić głową.

– Musicie mię wziąć z sobą do Żwirowa!

– Co? jak? – zapytał klucznik tonem człowieka, który nie wie, jak w rogu, co chcą od niego.

Nieznajomy wyprostował się i odchrząknął głośno.

– Idę do waszego pana – rzekł z pewnym naciskiem.

Klucznik o krok cofnął się w tył i spojrzał na nieznajomego wzrokiem, który komu innemu niezawodnie poplątałby język w gębie.

– Do kogo? – powtórzył wreszcie.

– Do waszego dziedzica, mówię.

– Do Żwirowa?

– To jest właściwie do Oparek, bo jak mi powiadają, dziedzic nie mieszka w Żwirowie.

Klucznik coś niezrozumiale mruknął przez zęby. Nie zbity z toru nieznajomy ciągnął dalej z drwiącą niemal poufałością:

– Otóż, mój szanowny Kostiu Buliju, kluczniku Zakłętego czy Przekłętego Dworu, tytułem przyszłej znajomości i przyjaźni musisz podwieźć mię do Żwirowa, czyli raczej do tego tam folwarku, jakieś go to nazwał, Żydzie? – zwrócił się nagle do Organisty.

– Buczały – przypomniał Organista usłudnie.

– A prawda, Buczały! Otóż z łaski swojej odwieziecie mię do Buczał, do ekonoma, do mandatariusza lub jakiegokolwiek innego czorta, a ten mię już odeśle do dziedzica.

Kost' Bulij z wielką uwagą wpatrzył się w nieznajomego i nie rzekł ani słowa.

– No, jakże?... – pytał tenże biorąc już swe zawiniątko na plecy.

Klucznik zawahał się czegoś.

– Skądże to znacie naszego dziedzica? – zapytał po chwili.

– Ho, ho! Szeroko by o tym mówić – zawołał nieznajomy i rezolutnie pokiwał głową. – Jestem ty a ty z waszym dziedzicem. Kochamy się jak bracia ślubni! ²⁵ Dawniej żaden z nas żyć nie mógł jeden bez drugiego!

Organista spojrzał na wykrzywione buty i krótkie rękawy nieznajomego i jakoś z niedowierzaniem wydał wargi, klucznik wzruszył ramionami i nie rzekł ani słowa.

Podróżny rozochocił się jakoś do wynurzeń.

– Pocciwy Julek, ani mu się śniło, że będzie kiedyś siedział w milionach! – zaczął na nowo. – Dałbym gardło, że nie wie dotychczas, jak sobie z nimi postępować. Ale ja go wezmę pod moją opiekę! Ho! ho! obaczycie, jak ja go wyfrycuję.

Klucznik znowu wzruszył ramionami.

– Ale co tam – przerwał sobie nagle podróżny. – Jedźmy lepiej! Podwieziecie mię przecież – dorzucił tonem, który żadnej już nie dozwalał odmowy.

– Ta – wybąknął klucznik.

Nieznajomy wywinął sękatą swą laską młyńca w powietrzu, poprawił zawiniątko na plecach, czapkę głębiej zasadził na tył i postąpił ochoczo za klucznikiem, który, nie mówiąc już ani słowa więcej, zmierzał ku drzwiom.

– A za wódkę? – nagabnął Organista, zachodząc z boku nieznajomemu.

– Później, jak będę kiedy przejeżdżał tędy – odparł nie zmieszany nieznajomy i z takim świstem zamachnął znowu swoją laską, że biedny Organista, jak mógł najprędzej, cofnął się za swój szynkwias obronny.

Na mostku przed karczmą czekał wysoko wyścielony wóz z podolskim koszem plecionym, uprzężony dwoma rączymi końmi, których czarna jak węgiel maść niemało w opinii ludu

²⁵ b r a c i a ś l u b n i – przyjaciele, którzy uroczystie ślubowali dożgonną przyjaźń braterską

szkodziła ich właścicielowi. Klucznik z rzadką na swój wiek i swą tuszę zręcznością wskoczył w siedzenie, ale przed nim jeszcze znalazł się już tam nasz nieznajomy.

– Pojedziemy tedy! – rzekł klepiąc swego woźnicę łaskawie po ramieniu.

Klucznik znowu spojrzał na natręta, ale ten nie lada czym dał się, jak to mówią, zbić z pantaląku.

– Palicie fajkę? – zagadnął znowu swego woźnicę.

Klucznik potwierdził skinieniem głowy.

– A macie tytoń przy sobie? – ciągnął dalej nieznajomy.

Klucznik zamiast odpowiedzi podał mu kapczuk napęczniony.

– To może i fajkę macie na podorzędziu?

Klucznik wzruszył ramionami, dobył zza pasa zwykłą glinianą, z wierzchu żółtą blachą pobitą fajkę z krótkim drewnianym cybuszkiem i nie mówiąc ani słowa podał ją swemu towarzyszowi.

– No, jak na klucznika Zakłętego czy Przekłętego Dworu, to z nie najlepszej palicie lulki ²⁶ – wtrącił jeszcze podróżny, który, jak widać, nie tak łatwo dał się zadowolić, a nałożywszy fajkę, jak mógł najsilniej, zażądał jeszcze hubki i krzesiwa.

Klucznik tymczasem coraz żywiej zaciął konie, wóz toczył się szybko po bitym gościńcu, a niebawem stanął na zakręcie do prywatnej drogi ubocznej.

Tu jednocześnie jakaś inna zbaczała fura. Był to mały, słomianą plecionką okryty z wierzchu wóz, uprzężony jednym małym pstrokatym koniem, a powożony przez człowieka, którego twarz zasłaniały szerokie kresy kapelusza. Oba wozy mijaly się ocierając jeden o drugi. W tej chwili podniósł głowę woźnica jednokonki, a nasz nieznajomy poznał maziara z ryczychowskiej karczmy. I znowu przysięgłby, że między nim a klucznikiem przeleciał w pośpiechu jakiś nowy tajemny znak porozumienia.

– Ho, ho, to i ten maziarz coś zmierza ku Żwirowi – ozwał się wreszcie, dmąc przed siebie spory kłęb dymu.

Klucznik nic nie odpowiedział, tylko rzucił na pytającego spojrzenie, które zdawało się mówić: Milczże raz, jeśli nie chcesz zlecieć z wozu.

Nieznajomy ucichł, ale nie na długo, rozochocony raz język świerzbiał go nad siły.

– A daleko mamy jeszcze przed sobą? – zapytał po chwili.

– Dobrą milę – odparł klucznik krótko.

– Wasz sędzia oczywiście żonaty?

Klucznik przyznał skinieniem głowy.

– A jak się nazywa?

– Bonifacy Gągolewski.

– Gągolewski! Gągolewski! Jakieś gęgające nazwisko! Jego właściciel musi koniecznie mieć coś wspólnego z gęsim rodem. A ekonom wasz jak się nazywa?

– Onufry Girgilewicz – odparł klucznik krótko.

Nieznajomy parsknął głośnym śmiechem.

– A to widzę jakaś kolonia gęgotliwych nazwisk. Onufry Girgilewicz, Bonifacy Gągolewski! Dobrali się obadwaj, nie ma co mówić. I do któregoż tu z nich zajechać, Girgilewicz tedy, Gągolewski owędy! Wielce czcigodny dobrodzieju i łaskawco, błogosławiony kluczniku Przekłętego Dworu – ozwał się wreszcie z komiczno-poważnym nastrojem – zawieziesz mię do pana Gągolewskiego albo jeszcze lepiej do pani Gągolewskiej, *nota bene*, jeśli warta grzechu.

Nie zażegnany niczym dobry humor nieznajomego zdawał się ugłaskiwać po trosze samego nawet ponurego klucznika, przynajmniej nie tyle już niechęci i surowości malowało się w jego spojrzeniach.

²⁶ l u l k a (ukr.) – fajka; tytoń do niej noszono w kapczuku, woreczku skórzanym; zapalano ją krzesiwkiem i hubką (suchym próchnem)

– A cóż, nie dojedziemy dziś do tego Żwirowa? – ozwał się znowu nieznajomy po długim przestanku.

– Z tego tam pagórka ujrzymy już dwór – odpowiedział klucznik i raźniej zaciął konie.

– Prawdziwie Zaklęty Dwór, bo zakłęcie daleko do niego.

Klucznik znowu zaciął konie.

Nieznajomy coś niezrozumiale mruknął przez zęby. Spojrzał z boku na klucznika i jakby się czegoś zawahał. Nagle machnął ręką i ozwał się na nowo:

– Czy dwór ten dawno już stoi pusto?

– Od lat pięciu – odpowiedział klucznik, a jakoś mimowolnie silniej zmarszczył czoło.

– Jak to od lat pięciu, kiedy dopiero trzy lata, jak nowy dziedzic objął w posiadanie?

– Tak; ale nieboszczyk, jaśnie wielmożny starościc, świeć Panie jego duszy – przemówił klucznik uroczystym głosem – na dwa lata przed swym zgonem wyjechał był za granicę.

– I gdzież umarł?

– W Dreźnie – odpowiedział starzec szybko, jakby chciał przykre jakieś przytłumić wspomnienie.

– A wyście byli przy jego śmierci?

– Skonał na moim ręku – odparł szorstko prawie, obrażony i zdziwiony tym zapytaniem.

– Spoczął tedy na obcej ziemi! – ciągnął podróżny dalej.

– Przeciwnie, w ostatniej swej woli kazał pochować się w Żwirowie i ja sam przywiozłem tu trupa.

– A nie miałże ani dzieci, ani żadnych bliższych krewnych, kiedy cały majątek zupełnie niemal obcemu pozostawił imiennikowi?

– Śp. jaśnie wielmożny starościc był nieżonatym – odpowiedział klucznik z ciężkim westchnieniem.

– Ale to nie przeszkadzało mu przecież mieć braci, siostry, synowców, siostrzeńców, synowice, siostrzenice. Bez tych przydatków trudno sobie nawet pomyśleć bezdzietnego bogacza.

Klucznikowi widocznie przykrą była cała ta rozmowa, twarz jego więcej jeszcze ponury przybrała wyraz, a i głos zdawał się twardszym i surowszym.

– Nieboszczyk miał przyrodniego brata, ale...

– Ale? – podchwycił nieznajomy.

– Nie lubił go – odparł klucznik krótko.

– I nie zapisał mu nic zgoła?

– Ani złamanego szeląga.

– A brat ten żyje?

– Mieszka o półtora mili od Żwirowa, w Orkizowie.

– Tam do kata! jakże ten przyjął nowego dziedzica?

– Dowiecie się to najlepiej od niego samego – odciął klucznik tonem, który zdawał się wypraszać sobie wszelkie dalsze zapytania.

Nie zrażony niczym podróżny chciał na nowo podchwycić wątek rozmowy. Ale w tej chwili wóz wtoczył się na pagórek, a w niezbyt dalekiej odległości odsłonił się nagle upragniony widok żwirowskiego dworu.

Nieznajomy aż podskoczył w siedzeniu i chciwie wypatrzył się przed siebie. Słońce już przed półgodziną skryło się za góry i zmrok już stopniowo osłaniał ziemię. Z tym wszystkim dwór żwirowski w dość wyraźnych przedstawiał się zarysach. Był to okazały jednopiętrowy gmach murowany z dwoma na przód wybiegającymi skrzydłami, z wspaniałym gankiem o sześciu słupach kręconych na froncie. Z tyłu ocieniał go szeroko sad owocowy, który po jednej stronie łączył się z niewielkim sosnowym gaikiem, z przodu ciągnął się otoczony ostrokołem dziedziniec, z ogromnym klombem pośrodku. U boku, w głębi dziedzińca, poza szpalerem z lip i dzikich kasztanów, wyzierały obszerne, również jednopiętrowe oficyny.

Z daleka przy zapadającym zmroku nie widać było żadnego zniszczenia ani w gmachu samym, ani w dziedzińcu i oficynach, i trudno by się nawet domyśleć, że stoi zupełnie pusty i nie zamieszkały.

– Toż tedy ów Dwór Zaklęty? – wykrzyknął nieznajomy.

Klucznik zamiast odpowiedzi zaciął konie.

– Dalibóg, wcale niestrasznie wygląda z daleka! – mruknął nieznajomy po chwili milczenia.

– Głupców własny cień straszy – przemówił Kost' Bulij.

– A gdzież wy mieszkacie z waszymi kluczami?

– Mam osobną zagrodę za gajem ogrodowym.

– A wyście żonaci? – pytał dalej nieznajomy, nie dając się zrazić lakonicznością otrzymywanych odpowiedzi.

– Nie.

– Mieszkacie sam jeden?

Klucznik nic nie odpowiedział. Wjechał w szeroką, gęstymi rzędy dzikich kasztanów ocienioną ulicę, a nagle zakręcił na wąski wygon uboczny.

– Gdzież to zawracacie? – zagadnął nieznajomy.

– Podwiozę pana do Buczał.

– A też ulica kasztanowa?

– Prowadzi do dworu.

Nieznajomemu strzeliła jakaś myśl nagle.

– Hej, stójcie – zawołał żywo – wieżcie mię raczej do dworu. Oglądnę to zaklęte miejsce, przenocuję u was, a jutro ze świtem pójde sobie piechoto do Oparek.

– Pójdź sobie pan, gdzie cię lichy poniesie – wybuchnął obcesowo zniecierpliwiony do najwyższego klucznik – tylko odczep się ode mnie!

Nieznajomy nabiegł krwią cały i z impetem chwycił za swą łaskę sękatą.

– Ho, ho, bratku – zawołał z zuchwałą, buńczuczną miną – zaczynacie się gniewać, jak widzę.

Kost' Bulij zmierzył swego towarzysza na pół groźnym, na pół wzgardliwym spojrzeniem, wzruszył ramionami i nic nie odpowiedział.

Wtem przypadkowo rzucił na bok okiem i w jednej chwili jakaś szczególniejsza zaszła w nim zmiana. Wszystkie krew wezbrała mu do głowy, brwi mocniej ściągnął pod czołem, wargi z zacieklą przygryzł złością, a z oczu groźna wymknęła się błyskawica.

Nieznajomy mimowolnie spojrzał w tę stronę, zapominając z nagłego zdziwienia o swej własnej urazie.

O kilka kroków na przedzie, tuż przy samym gościńcu, wznosił się na małym kopcu stary, pochylony na pół krzyż drewniany, a o niego stał plecyma oparty jakiś człowiek w chłopskim stroju. Nie wyglądał na żebraka, choć gruba i brudna na nim płótnianka w rozliczne rozstrzępiła się dziury, słomiany, okopcony kapelusz był bez dna prawie, a z wydeptanych chodaków bose wyzierały nogi. Był to widocznie jeden z nielicznych jeszcze wówczas proletariuszów wiejskich, co nie mając sami gruntów, nie potrzebowali robić pańszczyzny, a jeśli uszli poboru wojkowego lub w stałą gdzie nie najęli się służbę, stawali się ciężarem i plagą nie tylko wsi własnej, ale i całej nieraz okolicy.

Był to zresztą nie pierwszej już młodości człowiek; mógł mieć lat blisko czterdzieści, a twarz jego dziwnie nieprzyjemny i odrażający nosiła wyraz. Jedno oko zdawało się spoczywać głębiej od drugiego, nos krótki, zadarty u spodu, a przyplaszczony w górze, miał w sobie coś niehumanicznego, lubo godził się dobrze z niezwykle wystającymi jagodami i spiczastą brodą. Małe, wklęsłe, zielonkowate oczy, włos jaskraworudy i tysiąc blizn po ospie uzupełniały całość fizjonomii.

Stojąc oparty o krzyż drewniany, z zagadkowym zajęciem śledził każde poruszenie toczącego się ku niemu wozu, a prawdziwie szatański wyraz fizjonomii podnosił się jeszcze, im więcej zbliżał się wóz.

Na zaciśniętych ustach igrał mu uśmiech zapamiętałej złośliwości, oczy migotały złowrogo w swych głębokich jamach.

– Kto jest ten człowiek? – zapytał mimowolnie nasz nieznajomy.

Kost' Bulij nic nie odpowiedział, tylko raźniej zaciął konie, jakby co najrychlej chciał ominąć figurę. Człowiek pod krzyżem zaśmiał się dziko, a śmiech ten miał wielkie podobieństwo do przytłumionego wycia wilka. Klucznik jakieś okropne wybąknął przekleństwo i znowu popędził konie. Wóz już mijał figurę, kiedy nagle, jakby syk gadziny, ozwał się głos obdartusa:

– Powoli, powoli, Kostiu Buliju, abyście karku nie skręcili przed czasem. A nie zapominajcie o Mykicie Ołańczuku!

Klucznik nowe dzikie wyrzucił przekleństwo i co sił stało, zacinał konie, a jakby nie słyszał licznych wykrzyków i zapytań swego towarzysza, nie obejrzał się nawet, aż przy zupełnie zapadłym zmroku stanęli u kresu podróży w Buczałach.

III

ŚP. MANDATARIUSZ GALICYJSKI

Mieszkanie mandatariusza, prześwietne dominium ²⁷ w języku urzędowym, stało tuż przy drodze, w niewielkiej odległości od zabudowań folwarcznych, opasanych dokoła wysokim, ociernionym w górze płotem.

Był to niepokąźny, gontem pobity budynek i gdyby nie przyparte w zatyle przymurowanie z osobnymi dębowymi drzwiami i dwoma małymi, słomą zatkanyimi otworami po bokach, aniby domyśleć się można, że to siedziba jurysdykcji ²⁸ całego żwirowskiego klucza. Rodzaj ten lamusu, ochrzczonego techniczną nazwą aresztu dominikalnego, starczył razem za nadpis i całą zewnętrzną wystawę urzędu, który z tym wszystkim niepospolitej używał powagi i niesłychany wzbudzał szacunek.

„Co ma odżyć w pieśni, musi zginąć w życiu” ²⁹ powiedział poeta, a na szczęście mandatariusz i jego urząd dopełnili tego niezbędnego warunku i można już śmiało obrać ich za przedmiot powieściowego obrobienia. A po prawdzie potrzeba spieszyć się z tym przedsięwzięciem, bo dla najbliższych już czasów, dla najbliższego pokolenia stanie się nasz niedawny mandatariusz, podobnie jak komornik ³⁰, istną figurą mitologiczną, rzeczywistym bajecznym wspomnieniem przeszłości, że niepodobna będzie uwierzyć nawet w jego egzystencję, zrozumieć jego stanowisko, pojąć jego zakresu działania. I jak Cooper³¹ mienił się szczęśliwym, że widział i słyszał ostatniego Mohikanina, tak niebawem każdy za podwójne poczyta sobie szczęście, kto ujrzy i usłyszy ostatniego mandatariusza ³².

Pomiędzy wszystkimi osobliwościami czysto galicyjskimi mandatariusz był niezaprzeczalnie jedną z najciekawszych. Zajmował on tak szczególniejsze w społeczeństwie naszym stanowisko, a miał tak właściwy zakres działania, że koniecznie musiał urobić się w pewien typ odrębny, przybrać pewne cechy i znamiona charakterystyczne.

Na poły oficjalista prywatny, na poły urzędnik publiczny, tak niby ni pies, ni ryba musiał całe życie chwiać się pomiędzy dwoma przeciwnymi siłami, balansować w pośrodku dwóch przeciwległych ciężarów, kurczyć się między młotem a kowadłem.

Płatny i zawisły od dziedzica, podległy władzy obwodowej, a przełożony nad chłopem i Żydem, upadał pod brzemieniem potrójnych obowiązków. Musiał, po pierwsze, dogadzać każdemu kaprysowi, każdemu zachceniu dziedzica, po wtóre, mydlić ustawicznie oczy wła-

²⁷ d o m i n i u m (łac.) – majątek szlachecki (czasem zarząd kilku folwarków); często samo mieszkanie mandatariusza położone na terenie danego folwarku

²⁸ j u r y s d y k c j a (łac.) – władza sądowa

²⁹ „C o m a o d ż y ć w p i e ś n i (...)” – popularny dwuwiersz z poematu Fryderyka Schillera (1759–1805) pt. *Bogowie Grecji* (1788)

³⁰ k o m o r n i k – w dawnej Polsce nazwa szczególnie rozpowszechnionego urzędu związanego z czynnościami: poselskimi, sądowymi, administracyjnymi itp.

³¹ C o o p e r James Fenimore (1789–1851) – pisarz amerykański doby romantyzmu. Opisywał bohaterskie walki Indian z białymi kolonizatorami, podkreślając w swych utworach wartości humanitarne i piękno przyrody (*Ostatni Mohikanin*).

³² o s t a t n i e g o m a n d a t a r i u s z a – Mandatariaty zniósł rząd austriacki w 1849 r.

dzy, a po trzecie, skubać, co się dało, chłopą i Żyda; a najczęściej wszystkie te trzy obowiązki spływały się naraz. Na tym też właściwie polegał cały talent, cała zręczność mandatariusza, aby w jednej i tej samej chwili pochlebić się i jaśnie wielmożnemu panu, i zyskać reskrypt pochwalny od starosty, i jakąś okrągłą sumkę, jakiś akcydensik³³ nieszpety capnać do własnej kieszeni.

Z historii naturalnej znamy pewną klasę zwierząt, zwanych amfibiami, które mogą zarówno żyć na lądzie i w wodzie. Mandatariuszowi nie wystarczały obie te własności; obok natury amfibiów musiał mieć jeszcze w naddatku coś z przymiotów bajecznego salamandra³⁴. Nie dość było dla niego umieć żyć zarówno w wodzie, jak i na lądzie, potrzebował jeszcze, jak salamandra, żyć w ogniu. Musiał wszelkimi siłami utrzymywać się na chwiejnym lądzie swego anormalnego stanowiska, przebijać się przez powódź najróżnorodniejszych przeciwności, a nadto opierać się jeszcze ogniewi pańskich gniewów, chłopskich skarg i cyrkularnych³⁵ komisji.

– Pod utratą służby nie pozwól się aspan żenić Kiryle Harahucowi – nakazywał dziedzic peremptorycznie³⁶.

– W przeciągu dwudziestu czterech godzin udzielić konsens³⁷ ślubny Kiryle Harahucowi albo wytłumaczyć się z słusznych i prawnie uzasadnionych przyczyn odmowy – upominał cyrkuł.

– Pozwól mi się żenić, wielmożny sędzio, z Jawdoszką Kogucianką, a przyniosę ci koro-
waj jak krakowska brama i krowę boczastą dam na rozplódek, i czterdziestu sorokowców na papier i podpis – błagał małoletni Kiryło Harahuc.

Mandatariusz zgiał się we dwoje przed groźbą dziedzica, skrzywił się jak po łyżce pieprzu na reskrypt cyrkularny, a aż się zakrztusił pożądliwą słinką na walną obietnicę Kiryły.

– Pal diabli taką służbę! – mruczał w rozdrażnieniu i co mógł nakłął dziedzicowi w myślach, nawyzywał na cyrkuł, ale potem, jak zaczął się bić z myślami, kręcić, mataczyć, frymarczyć, aż koniecznie jakiś rozjemczy znalazł się środek, a tak i dziedzic się udobruchał, i cyrkuł przymilkł, i krowa stanęła w oborze, i czterdzieści sorokowców wpłynęło *ad acta*³⁸.

„Bo to zdatny mandatariusz, mospanie – zwykł mawiać sam o sobie – to diabłu podkowę urwie z kopyta i jeszcze na dobrą kreskę zarobi sobie w piekle”.

I w samej rzeczy potrzeba było takiej zdatności, aby z biedą utrzymać się na swym anormalnym stanowisku, podołać swym drażliwym obowiązkom.

Całe czynne życie mandatariusza było tylko jednym pasmem walk między dziedzicem a wymaganiami władzy, a podnietami własnego interesu. Potrzeba było zawsze godzić jedno z drugim, a nie zapominać nigdy o trzecim. Zawisły bezwzględnie od humorów pańskich, zawsze niepewny jutra, dziś tu, jutro tam, wnet w takim, wnet w owakim kłopotcie, wnet w tej, wnet w owej komisji, podobny był mandatariusz do zręcznego kuglarza, co całe swe życie musi balansować na chwiejnej, w powietrzu uwieszanej tyce lub toczyć się bez wytchnienia po kuli w górę i na dół, w prawo i w lewo.

Niech mu się tylko raz powinęła noga, a skręcił kark nieochybnie. Bardzo często z kancelarii dominikałnej wiódł prosty jak sznurek manowiec na śliskie bezdroża, lecz częściej jeszcze mandatariusz na stare lata wypoczywał gospodarując na własnej wiosce lub brał całe klucze w dzierżawę, lub wreszcie osiadał w miasteczkach i w różne zyskowe zapuszczał się spekulacje: bawił się lichewką, skupywał suche, a sprzedawał wilgotne zboże, podejmował się dostawów dla wojska lub w ostatecznym razie zaczął rzemiosło pokątnego pisarza...

³³ a k c y d e n s i k, a k c y d e n s (łac.) – dochód uboczny, okazyjny

³⁴ s a l a m a n d e r (salamandra) – jaszczurka, która wg wierzeń ludowych żyje w ogniu

³⁵ c y r k u l a r n y od: cyrkuł (łac.) – obwód, starostwo

³⁶ p e r e m p t o r y c z n i e (łac.) – stanowczo

³⁷ k o n s e n s (łac.) – zezwolenie władzy

³⁸ a d a c t a (łac.) – do aktów, gdzie odkładano sprawy załatwione

Brać, co się daje! – było zasadą, hasłem, godłem mandatariusza.

Chodziło tylko o to, aby umieć drzeć łyko, aby broń Boże nie pominąć żadnej korzystnej sposobności.

– Brać, kiedy samo pcha się w kieszeń, to lada dureń potrafi – mawiał z dumą stary mandatariusz – ale z zaciśniętego capnąć kulaka, do zaszytej dobrać się kabzy, to mi sztuka i zaśluga! Zdatnemu mandatariuszowi powinny szydła golić, kiedy innym brzytwy nie zechcą.

A już co pod tym względem, to pan Bonifacy Gągolewski, mandatariusz i policajrichter ³⁹ żwirowskiego dominium, z którym niebawem poznamy czytelników, mistrz nad mistrzami co się zowie! Nie darmo uchodził za najtęższego mandatariusza w całym obwodzie, a od dwudziestu lat potrafił utrzymać się na jednym miejscu.

Toż słuchać i drukować tylko, co o nim rozpowiadano w okolicy!

„Pan sędzia żwirowski i z kamienia pieniędzy wycisnie, jak zechce. A co się diabłu w gorączce nie przyśni, to on na jawie wymyśli” – mawiali chłopi z jego okręgu.

I w samej rzeczy nikt na bożym świecie nie potrafiłby lepiej wyzyskać i wyeksploatować tej szczypty władzy, jaka do jego mandatariuszowskiej przywiązywała się godności.

Przy tym wszystkim odróżniał się jednym zaszczytnym przymiotem. B r a ł, ale zawsze z r o b i ł, o co chodziło, kiedy, przeciwnie, inni w każdym razie wzięli, a mało kiedy co zrobili.

Przy takim jednak trybie urzędowania nie mogło się obejść bez częstych groźnych chmur na horyzoncie; nieraz pan mandatariusz zabrnął w kłopoty po uszy, a kilka naraz śledztw i komisji zawisło mu nad karkiem. Ale od czegoż znowu był dekret mandatariuszowski w kieszeni, a blisko trzydziestoletnia praktyka w głowie: pan Gągolewski wysliznął się zawsze suchą nogą bez szwanku, często jeszcze z nowym reskryptem ⁴⁰ pochwalnym, zawsze zaś z zyskiem materialnym w przydatku.

Niech tylko jakakolwiek zagroziła mu komisja, pan mandatariusz zapowiadał zaraz szesnastu wójtom swego okręgu:

– Za dni kilka zjedzie komisarz w sprawach gromadzkich. Oczywiście zagości wprost do mnie, a mnie ptaki z nieba nie znoszą, za jakie lichy mam go żywić! Potrzeba mi kilka kapłonów, wina, cukru, rumu, kawy, herbaty, rozumiecie!

Wójtowie pokłonili się aż do ziemi, nazajutrz zbierali składki od kołka do kołka po wsi, a za dwa, trzy dni przybywał do dominium, z każdej wsi posłaniec gromadzki i pokornie składał w ręce pani sędziny pół tuzina kapłonów, flaszkę rumu, oko ⁴¹ cukru i kawy, funt herbaty i kilka butelek wina.

Nietrudno było przy takich źródłach dochodu przyjąć po hrabsku zapowiedzianego komisarza, a nadto jednać sobie mnogimi prezentami wszystkich pomniejszych urzędników cyrkularnych.

Bo już to pan Gągolewski starał się z całym cyrkułem na jak najlepszej żyć zawsze stopie. Najpośledniejszego kancelistę tytułował komisarzem, a jak się sam pokazał w mieście, to fundy i traktamenta nie miały końca.

Dzięki tej szczodrobliwości pan Gągolewski wiedział zawsze o każdym grożącym sobie niebezpieczeństwie, o każdej przeciw sobie wymierzonej skardze, nim jeszcze weszły do protokołu i nim przedwstępne odbyły się formalności. Toteż nigdy nie dał się zaskoczyć zniecka, a drwił w żywe oczy i z najgroźniejszego przeciwnika.

Nie było nadto choćby i najsurowszych zasad urzędnika, któremu by sam w jakiś dowcipny sposób nie umiał wetknąć kubana.

³⁹ p o l i c a j r i c h t e r (niem.: *Polizeirichter*) – sędzia policyjny; jeden z tytułów przysługujących mandatariuszowi

⁴⁰ r e s k r y p t (łac.) – pismo urzędowe

⁴¹ o k o – trzy funty